

LĘK JEST ZABÓJCĄ MARZEŃ

A tymczasem w okolicy Ginosair nawet nie zaglądam do Facebooka. Bardzo chcę odmówić jutrzni o wschodzie słońca, tak jak modliłam się w Karmelu z siostrami. Jak dobrze, że w hotelu jest bezpłatne wifi. Ściągam teksty na mojej brewiarzowej apce i ruszam nad wodę.

Naprzeciw furtki, w którą skręciłam wczoraj wieczorem, jest ścieżka przez trzciny i zaraz zaczyna się jezioro Ge-nezaret.

Niebo jakby całe oblane sokiem z pomarańczy. Tak mu do twarzy w tych ciepłych barwach... Przede mną jezioro, a za nim góry. Nie mam pojęcia, z której strony słońce będzie wschodzić.

Ptaki tak śpiewają, jakby ćwiczyły arię na jego przywitanie. Sielanka... ale zaraz, zaraz. Co tam pływa w wodzie?

Jakieś plastikowe worki, jakaś poduszka, materac z gąbki... I zielone plastikowe krzesło!

Stoję na drobnym żwirku nad jeziorem, czekam na wschód słońca, odpalam brewiarz, żeby w każdej chwili móc zacząć się modlić. Ale jak tu się skupić, kiedy w wodzie taki bałagan.

Nie, no muszę to posprzątać. W końcu z Poznania jestem. Zdejmuję swoje uprane już i suche adidas i wchodzę do jeziora. Co chwila zadzieram głowę, żeby nie przegapić pierwszych promieni. Wreszcie wszystko pozbierane elegancko w kupkę gdzieś przy trzinach na

brzegu. I wtedy nagle myśl: Dlaczego mam stać na brzegu? Przecież mogę przywitać słońce w jeziorze...

Robi się tak cicho. Od czasu do czasu zaśpiewa tylko jakiś ptak. Słońce musiało już wzejść za górą, bo niebo tam poróżniało i robi się coraz jaśniej. Czekam i czekam. Boję się, że jak tylko odwrócę wzrok, choćby na moment, słońce, jak w chowanego, już zaklepie metę na niebie. Takie wielkie czekanie. Jak adwent, mimo że mamy teraz Wielki Post.

Kto to powiedział: „wielkim czekaniem czekałem Pana”. Święty Augustyn?

Patrzę pod nogi i... nie widzę jeziora. Za to widzę każdy kamyczek, każdą muszelkę. Zupełnie, jakbym miała na sobie przezroczyste pończochy. Od czasu do czasu się marszczą i rolują. Woda nie ma fal, tylko takie lekkie zmarszczki. Jakby potrząsnąć jakimś jedwabistym materiałem. I te zmarszczki tak płyną... Jedna za drugą. Prosto pod nogi.

I nagle impuls. Przecież jestem dokumentalistką! Powinnam to nagrać, uchwycić ten wyjątkowy moment dla mojej storytellingowej społeczności. A z drugiej strony, chcę to po prostu przeżyć. Tak dla siebie. Bez oka kamery jako pośrednika.

I tak się kłóć we mnie te dwa światy. One się zawsze kłóć. Że kiedy gdzieś jadę, to nie jadę tylko dla siebie, ale jadę jak reporter, który jest okiem i uchem tego, który nie miał szansy być tam, gdzie ja. Jadę, żeby pokazać piękno świata, żeby coś o nim opowiedzieć. A z drugiej

strony, tak bardzo chcę ten moment mieć tylko dla siebie. Co robić?

Czułabym się jednak zbyt wielką egoistką, gdybym zachowała to tylko dla siebie. Tak wielu ludzi marzy o podróży do Ziemi Świętej, ale ilu z nich, nawet jeśli tu dojadą, będzie miało szansę stanąć o świcie w wodach Jeziora Galilejskiego? O tej samej porze, kiedy Jezus wychodził na górę modlić się do Ojca?

Trudno. Wyciągam komórkę. Nie wiem, o której słońce wyłoni się zza góry, więc od razu włączam nagrywanie. To będzie jedno statyczne ujęcie, ale i tak po kilku minutach ręce trzęsą się mi z emocji i zmęczenia. Ja patrzę ponad ekranem.

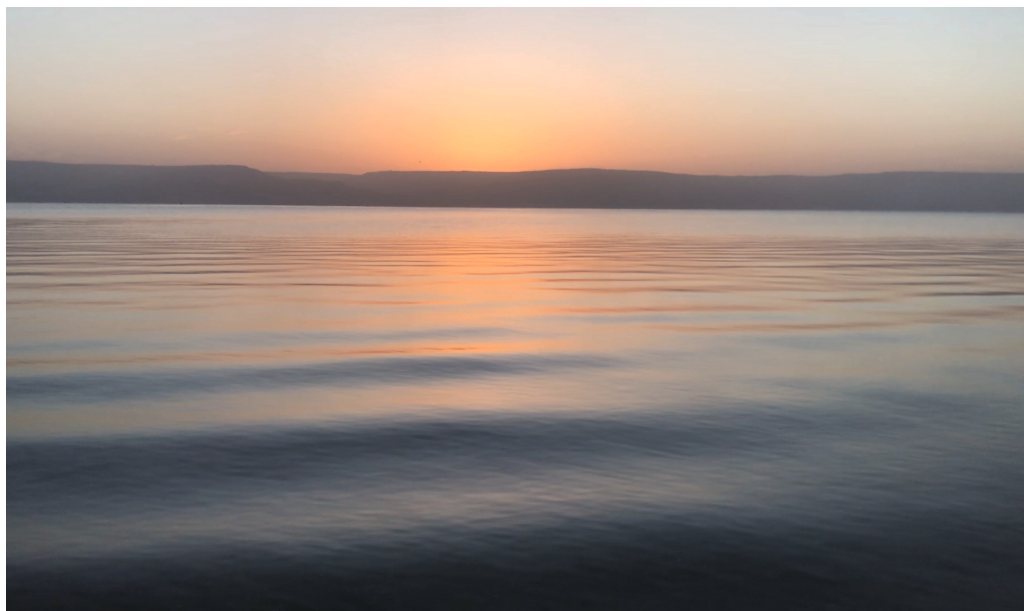
I wtedy zdarza się cud. Widzę równolegle dwa obrazy – ten w szerszym planie, na wyświetlaczu telefonu, dla wszystkich, którzy zobaczą nagranie. I ten w naturze, jakby tylko dla mnie. To, co widzi komórka, to wschód słońca nad Jeziorem Galilejskim. A to, co widzi moje oko nad komórką, to spotkanie z Tym, który kiedyś po nim chodził.

I nagle wszystko cichnie. Zorze blakną, niebo wygląda, jakby je ktoś wyprał z kolorów. Najciemniej jest przed świtem? W pewnym momencie zza tej góry wychyla się skrawek, biały skrawek słońca, który powoli się podnosi, podnosi coraz wyżej. W zagłębieniu pomiędzy górami. I nagle dociera do mnie, że to nie jest tylko słońce, ale Hostia, biały krążek, który jakby na patenie z gór był niewidoczną ręką Najwyższego Kapłana podnoszony coraz wyżej i wyżej.

A ja z nogami w wodzie mam głowę w niebie. Jakbym była w Wieczerniku. Patrzą na białe słońce – Chrystusa, który życie za mnie oddaje z miłości i mówi: „To jest Ciało moje”. Taka Komunia Święta nad jeziorem Genesaret od Pana Boga.

W gardle rośnie gula, a łzy cieką mi strumieniem po policzkach. I znowu wraca jak refren: Jak to jest? Poprzedniego dnia byłam już prawie o krok od tego, żeby zawrócić, byłam w totalnym strachu, że ktoś może mnie zabić, zaatakować mnie jakieś zwierzę, ktoś zgwałci.

A następnego dnia stoję w jeziorze i każdą komórką ciała doświadczam cudu natury, boskiego cudu natury Najlepszego Scenarzysty Świata.



To słońce wychodzi dokładnie naprzeciw tego miejsca, gdzie stoję. I w momencie, kiedy wychodzi, na drodze od niego aż do mnie układa się świetlista kładka. Ja jestem drogą... dźwięczy mi w uszach. I już wiem, że jeśli idę taką drogą, to naprawdę czuję, że żyję.

Zatrzymuję nagranie. Stałam nieruchomo w wodzie przez piętnaście minut. Mimo trzęsących się rąk ujęcie jest stabilne, wszystko udało się zarejestrować, bez żadnych technicznych psikusów. I nagle czuję się taka wdzięczna! Dostałam taki dar od Ojca. On rozumie, że działam wśród ludzi i chcę się z nimi podzielić pięknem. I to się w nagraniu udało. A jednocześnie część tego misterium jest tylko dla mnie. Zawsze myślałam, że w takich sytuacjach muszę zrezygnować z czegoś, bo albo będę dla ludzi, albo będę dla Pana Boga. A tu taki znak, że mogę być i tu, i tu. Że to, co dzielone, się mnoży...

Jeszcze długo stoję po kolana w tej wodzie. Słońce już coraz wyżej, a ja dziękuję Bogu za wszystkich ludzi, którzy mnie doprowadzili do tego miejsca, gdzieś z mojej przeszłości. Za wszystkich przyjaciół, nauczycieli, duszpasterzy, wszystkich bliskich, całą rodzinę, za mojego syna. Wymieniam ich po kolei podczas tej galilejskiej komunii świętej, żeby Pan Jezus usłyszał ich imiona. Zbieram w wodzie kilka białych kamieni. Wierzę, że tam jest zapisane ich nowe imię. Nawet już delikatnie zaczynam przeczuwać, jakie...

Słońce jest już wysoko na niebie, kiedy siadam na brzegu i zaczynam odmawiać jutrznię. Czytam i oczom nie

wierzę. Jakby Najlepszy Scenarzysta Świata dokładnie przewidział, że tego dnia będę o świcie nad jeziorem.

*Bo Pan Bóg jest słońcem i tarczą:
Pan hojnie darzy łaską i chwałą,
nie odmawia dobrodziejstw
postępującym nienagannie (Ps 84).*

*Niebiosa głoszą chwałę Boga,
dzieło rąk Jego obwieszcza nieboskłon.
Dzień opowiada dniowi,
noc nocy wiadomość przekazuje.
Nie są to słowa ani nie jest to mowa,
których by dźwięku nie usłyszano.
Ich głos się rozchodzi po całej ziemi,
ich słowa aż po krańce świata.
Tam słońcu namiot postawił, a ono jak oblubieniec
wychodzi ze swej komnaty,
cieszy się jak siłacz ruszający do biegu.
Ono wschodzi na krańcu nieba i biegnie
aż po drugi kraniec,
a nic przed jego żarem się nie schroni (Ps 19).*

Znowu łzy napływają mi do oczu. Mokra w tym Jeziorze Galilejskim. To jeden z takich momentów, kiedy czas na chwilę staje w miejscu. Jak ten mój zegarek, który zatrzymał się w samolocie. Kiedy rusza znowu, mam wrażenie, że zaczyna się w moim życiu jakiś nowy czas. Jakby to był moment tajemniczego przejścia. Spojrzenia w nowy, zupełnie inny sposób na siebie i na wszystko, co jest wokół mnie, we mnie. Szukałam miłości, a teraz mam wrażenie, że raczej to ona szukała mnie. Nie zasta-

nawiam się, czy to tylko chwilowe, czy to może jakaś iluzja. To nie ma najmniejszego znaczenia. Takie sekundy potrafią karmić człowieka przez całe życie.

I nagle dociera do mnie z pełną jasnością, co przydarzyło mi się wczoraj. Spotkałam się z własnym lękiem, twarzą w twarz. Ten czarny, potężny zwierz, który wczoraj zagradzał mi drogę do jeziora, to był mój zmateralizowany strach. Może wcielił się w jakieś tutejsze zwierzę? Po powrocie do Polski spróbuję ustalić, co to mogło być, ale opis nie pasuje do żadnego. Wilków tu nie ma. Na szakala za duże. Wszystkie inne zwierzęta tutaj też są mniejsze. Może to była jakaś moja projekcja? Albo naprawdę zobaczyłam jakieś kosmate lichy. To w sumie nie ma znaczenia. Ma znaczenie, że to COŚ chciało mnie zatrzymać. W miejscu. Chciało mnie zawrócić z drogi do mojego celu.

Kiedy zatka się rura, wszystkie brudy wypływają na powierzchnię. I woda nie ma jak przepływać. Tak działa lęk. Skutecznie korkuje przepływ Mocy. Można całe życie i niemłą fortunę spędzić na walce z lękami. Można też zacząć skupiać wszystkie siły na tym, by zaufać i puścić.

Najlepszy Scenarzysta Świata ma najlepszego antagoni-
stę na świecie. Przeciwnika, który zrobi wszystko, żeby
poprzestawiać na mojej drodze drogowskazy. Od nadziei
do beznadziei. Od wiary do niewiary. Od miłości do lęku.
Żebym zawróciła. Choćby o kawałek. A potem kolejny.
Aż mi się w końcu pomyślą kierunki i pogubię drogę.
Nawet nie musi być mocarzem! Wystarczy, że znajdzie
moje najślabsze ogniwo. I lekko w nie puknie.

Wystarczy mi mój brak poczucia własnej wartości. Przynależności. Poczucie osamotnienia. Mój strach... Tam jest jego ulubione poletko. Tam przede wszystkim mogę się spodziewać ataku! Nie musi nawet zbyt wiele robić. Tylko się przyczaić i czekać, kiedy akurat będę zmęczona, niewyspana, głodna, chora, kiedy ktoś mnie zrani albo kogoś lub czegoś będzie mi bardzo brak. Wtedy wystarczy jeden jego impuls, żeby spirala myśli poszła w ruch. Coraz szerzej i szerzej. Coraz niżej i głębiej. Aż stracę z oczu wszelkie światło. I nie widzę tego, co jest, ale to, co myślę, że jest.

A wtedy jeszcze trudniej odpuścić. Zwłaszcza kiedy się jest taką anonimową perfekcjonistką na odwyku jak ja. Wszystko i zawsze chcę zrobić najlepiej, jak tylko potrafię. Więc jak mogę odpuścić? Nie byłabym sobą. Aż pewnego dnia otwieram książkę Sarah Young, *Jezus mówi do Ciebie*. To prezent od Ani Waclawy, mojej przyjaciółki z sieci. I absolutnej rekordzistki w byciu wiceministrem zdrowia. Aż dziewięć razy składała dymisję i aż dziewięciu ministrów zdrowia, w tym prof. Zbigniew Religa, jej nie przyjmowało. Nieraz te słowa Jezusa mnie ratowały w trudnych momentach. I teraz też. Jakby mówił właśnie do mnie:

„Nie bój się odpuścić. Wiesz, co da ci największe poczucie bezpieczeństwa? Nie okoliczności, nie inni ludzie, nie twoje doświadczenie, wykształcenie, pieniądze i znajomości. Tylko Ja! Obdarzyłem cię niezwykłą wolnością, w tym wolnością decydowania o tym, na czym skupić się ma twoja uwaga. Kiedy twoje myśli płyną swobodnie, zwykle kierują się ku temu, co cię nęka. Zaczepiają się

o jakiś problem i krążą wokół niego, próbując nad nim zapanować. Tracisz w ten sposób energię, której potrzebujesz na inne sprawy. Ale najgorsze jest to, że tracisz z pola widzenia Mnie”.

I nagle dociera do mnie, że dokładnie tak samo dzieje się z grzechem i z pokusami.

Do tej pory postrzegałam to zupełnie inaczej. Czasem w hotelowych łazienkach są takie wysuwane na metalowych krzyżakach lustra powiększające. Kiedyś się skusiłam i przeżyłam potężny szok. Nagle, w jasnym świetle i w ogromnym powiększeniu zobaczyłam swoją twarz. Każde przebarwienie, każdy wągier, każdą zmarszczkę było widać wyraźnie, jak na dłoni. I były ogromne! Nie widziałam już całej mojej twarzy, a tylko jej defekty. W całej okazałości. Każdy centymetr mojej twarzy krzyczał do mnie: „Myślałaś, że jesteś ładna? No sama zobacz. Teraz widzisz, jaka naprawdę jesteś”.

Tak samo po drugiej stronie lustra... Grzech, zatrzymując mnie na sobie, sprawiał, że traciłam spojrzenie na całość. Nie widziałam już całej siebie, a tylko jakąś wyolbrzymioną, pokraczną część. I ta część decydowała, w jaki sposób na siebie patrzyłam. Najpierw niedowierzanie – to ty, taka dotąd niezłomna? Dzielna? Silna? Tak sobie myślałaś? Dobry żart. I nagle w moim spojrzeniu pełno lęku. Czasem obrzydzenia. Wstydu. Bez zachwyty.

Bywało, że grzech działał na mnie jak czerwone światło, które na chwilę zatrzymuje na drodze. Stop. Nie brnij w to dalej. Czasem zawracałam. Tylko, że w moich

myślach zmieniało się raz po raz znowu na przyzwalające zielone. I tak bardzo musiałam się pilnować, żeby nie zamienić się w grzesznego daltonistę.

Teraz widzę, że największy problem z grzechem i pokusami jest taki, że one wchłaniają w siebie jak gąbka tak wiele mojej uważności i czasu. I w ten sposób odciągają mnie od Boga.

Nie wskażą dobrej drogi, tylko przeczołgają mnie po krzaczorach. Każą mi wierzyć, że ta iluzja jest drogą. A życie, a droga, a prawda jest przecież gdzie indziej. To o to tu chodzi! Czas, który mógłby być miłością, teraz rozprasza się, rozmienia na drobne w podróbki miłości. I nie przynosi pełni błogosławieństwa.

Najgorsze jest to, że pokusy i grzechy zawłaszczają moje myśli. Zdarza się, że nawet w czasie najbardziej skupionej modlitwy czuję, jakby jakiś złośliwy motorniczy przekładał zwrotnicę w mojej głowie. I nagle pędzę z prędkością Pendolino już po zupełnie innych torach.

Te myśli układają się w mojej głowie w opowieść. Z tej opowieści rodzą się we mnie emocje, a one z kolei popychają mnie do konkretnego działania. Aż pojawia się nowa myśl na horyzoncie. I nowa opowieść. I znowu nowe emocje i nowe działanie. I tak chomicza karuzela obraca się dookoła. A kiedy wreszcie uda mi się z niej wyskoczyć, widzę, że nie posunęłam się ani o krok do przodu. Jestem w tym samym miejscu. Tylko kiedy do niej wskakiwałam, był wiosenny poranek, a teraz jest już nagle zimowy wieczór. Jedyne, co może wynagrodzić ten stracony czas, to

lekcja, żeby kolejnym razem zatrzymać się w porę i pójść prostym gościńcem... A jeśli znowu wskoczę, to żeby zdążyć wyskoczyć przed zachodem słońca.

Kiedy jestem w takim dole, tak łatwo zapomnieć, że najważniejszą rzeczą w tym momencie jest... przestać kopać. Przyznać się przed sobą do własnej słabości. Całkowicie zdać się na Jezusa i krzyknąć jak Piotr, kiedy idąc do Niego po jeziorze, zaczął tonąć i wołał: „Panie, ratuj mnie!”.

On usłyszy! Zawsze słyszy! Kiedyś, zbyt często załamana sobą bywałam regularnym gościem urwiska nad przepaścią rozpacz. Teraz zapraszam Go w sam środek mojego zmijowiska problemów, przekonań, słabości, grzechu, pokus. Ale zamiast na sobie, z całych sił koncentruję się na Nim. Wystrzelam racę modlitwy, która składa się tylko z kilku słów. „Nie dam już rady. Ratuj mnie!”. I czuję, jak moja bezradność wyzwala Jego Moc, która jak magnes przyciąga do siebie wszystko, co jest we mnie słabe i niedorobione. A On tę pustkę, która zostaje, wypełnia swoją miłością.

Jak dobrze, że chyba po raz pierwszy w życiu tak świadomie oparłam się lękowi. Nie zawróciłam. Zaufałam, że mnie uratuje. To dzięki tej decyzji na brzegu jeziora odkryłam, że po drugiej stronie lęku otwiera się wyzwalające poczucie wolności. I spełnianie marzeń. A lęk jest ich największym zabójcą.

Choć każda nowa sytuacja to też kolejny nowy wybór: Ufam i puszczam? Czy nie? A Najlepszy Scenarzysta Świata lubi powtarzać: „Sprawdzam!”.

Nie sądziłam, że kilka lat później, na innym jeziorze, przyjdzie mi przetestować to w najbardziej dosłowny sposób.

To była piękna, słoneczna środa. Płyniemy po jeziorze Tałty, najgłębszym jeziorze rynnowym na szlaku Wielkich Jezior Mazurskich.

– Kto idzie się kąpać?

Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Nie ma nic przyjemniejszego niż takie pływanie na środku jeziora, w ślad za płynącym jachtem. Szybko przebieram się w strój. Kiedy wracam na pokład, słońce schowane już za chmurami. Zaczyna kropić. Waham się, ale przecież nie jestem z cukru, więc się nie roztopię. A w wodzie tak przyjemnie. Tylko ta prawa ręka znowu taka słaba, boli od tygodnia, więc z pływaniem to teraz duże wyzwanie. Ale Górscy się przecież nie poddają.

Skaczę do wody. Do jachtu jest przywiązana niebieska lina z pętlą na końcu, żeby się przytrzymać, jeśli sił nie starczy, kiedy jacht nabierze nagle prędkości. Pływam dobrze, w podstawówce startowałam w zawodach, więc jestem spokojna. Próbuję nadążyć za jachtem, ale ręka przeszkadza. Może na plecach będzie lepiej.

Nadal nie. Jestem już w połowie liny, kiedy nagle zagłę się wydymają, a jacht błyskawicznie nabiera prędkości. Nie ma szans, żebym płynęła sama. Trzymam się kurczowo liny, ale robi się coraz większa fala. Spieniona woda zalewa mi co chwilę twarz. Krztuszę się wodą. Próbuję na

plecach. To samo. Brakuje mi powietrza. Na pokładzie załoga zajęta żaglami. Nikt nie patrzy w moją stronę. Lina, która miała mnie ubezpieczać, teraz ciągnie mnie w toń.

Jeszcze chwila i zacznę się topić. Lekki skurcz paniki podchodzi mi do gardła. Co teraz? Wołać o pomoc? Nie chcę narobić im kłopotów. Póki mogę, zawsze walczę sama. Ale nie daję już rady. Oby tylko jakaś motorówka, których tu pełno, nie wybrała teraz akurat tej trasy. Bo będzie po mnie.

– Radek! Puściłam się! – krzyczę resztkami sił.

Boję się, że mnie nie usłyszą, bo jacht pruje fale, w mgnieniu oka oddalając się ode mnie.

Usłyszeli. Robią pętelkę, próbując do mnie podpłynąć. Po przeszkoleniu na morzu wiem już, co robić, kiedy jest człowiek za burtą, ale zupełnie nie wiem, kiedy to ja sama jestem tym człowiekiem. Boję się, że pędzące prosto na mnie trzy tony jachtu zmiażdżą mnie, więc uciekam w bok.

– Płyn do nas! – krzyczą, obracając się jeszcze raz. – Łap linę!

Nie wiem, jak to się dzieje, ale teraz, kiedy już ją puściłam, nagle w mojej głowie wszystko się uspokoja. A może puścić to nie jest oznaka słabości, ale właśnie siły? Panika się cofa, zanim jeszcze na dobre zajęła moją głowę. Może ktoś się właśnie za mnie modli? Wszystkie siły koncentruję na tym, co teraz muszę zrobić, a nie

na lęku, co się zaraz może wydarzyć. Kilka mocnych ruchów ramionami i nawet nie potrzebuję liny. Już jestem przy drabinie na rufie.

Wchodzę na pokład jeszcze w lekkim dygocie, ale szczęśliwa.

Nie dałam się lękowi, jak tyle razy wcześniej w moim życiu bywało. Pływam długie dystanse, ale gdybym wpuściła do głowy panikę, mogłoby mnie już tutaj nie być. Puściłam asekurującą mnie linę, kiedy zrozumiałam, że o własnych siłach nie dam już rady.

I paradoksalnie, chyba po raz pierwszy w życiu w tak dramatycznej sytuacji naprawdę poczułam się wolna.



Nadal robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby płynąć, żeby się uratować. Ale nagle zrozumiałam, że nie muszę wszystkiego sama!

Jeśli tylko zaufam, że przecież sama nie jestem.

Bo Kapitan mnie widzi i na pewno uratuje... Trzeba tylko Go zawołać.

Kapitan dał mi też rozum. I następnym razem będę bardziej uważna i ostrożna. Ale już wiem, jak to jest puścić. Jak to jest poczuć się nagle bezsilna. I jaką siłę daje wtedy zaufanie. I chyba bardziej już rozumiem św. Pawła, który pisze w swoim drugim liście do mieszkańców Koryntu: „Kiedy jestem słaby, wtedy jestem mocny. Moja moc w słabości się doskonali” (2 Kor 12, 9-10).

Może czasem, żeby potrafić zaufać, trzeba najpierw puścić?

Śniadanie po modlitwie nad Jeziorem Galilejskim tak pyszne, jak sobie wymarzyłam. Plecak już spakowany, Szlak Jezusa prowadzi mnie dalej do Tabgi i Kafarnaum, ale chcę jeszcze wrócić do Magdali, skąd była Maria Magdalena, i zobaczyć synagogę, w której nauczał Jezus. Sympatycznego chłopaka, który oddał mi wczoraj swoją kolację, już nie ma, ale dopytuję jeszcze pana w recepcji.

– To ze czterdzieści pięć minut będzie brzegiem.

– Ale na brzegu nie ma ścieżki, ja tam szłam wczoraj w nocy. Same chaszcze były.

– A skąd szłaś?

– Z góry Arbel.

– A jak długo?

– No z pięć godzin.

Ma dziwną minę. Może chce mnie pochwalić, że tak rekordowo szybko pokonałam tę trasę?

A on mówi:

– Ale to jest trasa na półtorej godziny.

Na półtorej godziny??? A ja szłam pięć godzin? Trudno mi w to uwierzyć. Ale dlaczego tak? Nie wiem, naprawdę nie wiem, co się stało, że tak strasznie długo tam szłam. Przecież po drodze nie robiłam sobie nawet odpoczynków. Cały czas szłam do przodu.

Czyżby mnie coś hamowało? Gdybym tak od razu doszła w te półtorej godziny, to być może nie otworzyłabym się na to wszystko, co się miało wydarzyć później. Czasami te trudy, ten opór, który trzeba pokonać, te swoje lęki, te własne ograniczenia są po to, by szerzej otworzyć oczy, żeby szerzej otworzyć uszy. Jak w sykomorowej strukturze opowieści – mocny antagonistą wzmacnia bohatera. Komplikacje są potrzebne, żeby mógł nastąpić moment przełomu. Bez nich są szanse, że nawet go nie zauważę. I nie docenię. I to, co miało być przełomową zmianą, umknie niepostrzeżenie. I zostanie po staremu.

A może to była kolejna próba? Jakby nasz Ojciec chciał mnie znowu sprawdzić. W tym kurzu, w tym błocie, w tych kałużach, w tym gubieniu drogi, w tym czekaniu na zakręt, którego ciągle nie było, w tym strachu, że nie będę miała gdzie spać, że nie dam rady już dalej iść z tym ciężkim plecakiem, że za chwilę już będzie zachód słońca, że zaraz ktoś może przyjść i zrobić mi krzywdę, w tych szeleszczących chaszczech, w spojrzeniu czarnego

zwierza, w krzykach ptaków. Jakby to było specjalnie po to, żeby zapytać:

– Moniko, czy ty pójdziesz za mną? Czy mimo wszystko pójdziesz za mną? Czy ty mi wierzysz? Czy mi zaufasz...?

Bóg jak ojciec i matka – kocha, ale sprawdza. On najlepiej wie, co to znaczy Słowo. I testuje, czy moje słowa są serio. Puste czy pełne. Czy moje:

– Jezu, jestem Twoja, prowadź mnie Twoimi ścieżkami – jest tak serio, serio. Czy może raczej znaczy to:

– Jezu, jestem Twoja, prowadź mnie Twoimi ścieżkami, ale pod warunkiem, że będą proste, że będzie komfortowo, że będę miała coś do picia i generalnie nie będę się niczego bać.

Jasne. On dał mi też wyobraźnię, żeby nie pakować się w sytuacje, w których jest zbyt dużo ryzyka. Lepiej testować siebie niż Jego. Czy to była jedna z takich sytuacji? W dziwnym spojrzeniu recepcjonisty chyba znalazłam odpowiedź.

Jeszcze wtedy nie wiem, że gdzieś, na półce skromnej klasztornej celi w Jerozolimie czekają na mnie cierpliwie czyjeś słowa. Precyzyjne jak dziurka od klucza, przez którą będę mogła zobaczyć prawdziwą miłość. Nawet jeśli tylko z oddali. Napisane ręką kogoś, kto nie stawiał Bogu warunków.

Przede mną dzisiaj długi dzień. Tyle cudów się działo na północnym brzegu jeziora. Wszędzie chcę być. A jeszcze będę szła pieszo... Czy ja naprawdę dojdę do tej Magdali w czterdzieści pięć minut? A jak znowu się pogubię?

